

Rozkład katolicyzmu*

O. Louis Bouyer CO

Te dwa wirusy, które w istocie nie są ani nowe, ani wyłącznie katolickie, lecz które gwałtownie rozprzestrzeniły się we współczesnym katolicyzmie i które znalazły doskonałe środowisko rozwoju w nowoczesnej prasie, to mitologia zastępująca analizę rzeczywistości i slogany zajmujące miejsce refleksji doktrynalnej.

Entuzjazm naszych katolików „na czasie” dla Bultmanna i jego „demitologizacji” staje się całkiem zabawny, gdy zestawimy go z tym, że większą wagę przywiązują oni do sfabularyzowanej wersji zdarzeń niż do rzetelnego opisu faktów.

Ta prawidłowość ujawniła się już podczas pierwszych obrad Soboru; a także w powstałych wówczas sprawozdaniach, które natychmiast upowszechniono. Ich naiwny manicheizm znał jedynie biel i czern. Z jednej strony ci „źli”: sami Włosi, nie licząc kilku Hiszpanów i Irlandczyków. Z drugiej zaś ci „dobrzy”: w całości spoza Włoch, może z wyjątkiem jednego lub dwóch kardynałów. Po jednej stronie ci wszyscy Ottaviani, Ruffini, Brownowie i Heenanowie; po drugiej Fringsowie, Légerowie, Suenensowie i Alfrinkowie – by wymieniać jedynie „purpuratów”. Ci pierwsi jednakowo ograniczeni, przebiegli i małostkowi; ci drudzy w równym stopniu czyści, mądrzy i wielkoduszni.

patrząc z góry, kpili sobie z rozbitcia protestantyzmu na sekty czy wrogie sobie i rywalizujące szkoły. Wystarczyło jednak, że poluzowano żelazny gorset, w którym zostali uwięzieni od Reformacji, a z którego represja modernizmu odkręciła ostatnią śrubkę, żeby w mgnieniu oka znaleźli się w jeszcze gorszej sytuacji (s. 46). Wczorajsza liturgia była już tylko zabalsamowanym trupem. To, co nazywa się dzisiejszą liturgią jest tym samym trupem, ale w rozkładzie (s. 144). Jego analiza opiera się na dwóch parach przeciwieństw. Z jednej strony jest Kościół, który może być pewien swojej przyszłości i katolicyzm, który jest systemem ukutym przez Kontrreformację i uśmierconym przez modernizm; z drugiej strony – tępy i zamknięty integryzm, który jest bliźniaczym bratem chaotycznego i wywrotowego progresizmu. W prezentowanym fragmencie Bouyer krytykuje posoborowe pseudoubóstwo i podkreśla, że źródłem autentycznego ubóstwa jest służba.

auto- rzy

* W ostrym pamflecie *La décomposition du catholicisme* (Paris, Aubier-Montaigne 1968), o. Louis Bouyer, były pastor luterański, „swobodny elektron” Kościoła katolickiego, uczestnik przygotowań do Soboru Watykańskiego II i przytomny krytyk jego tzw. „ducha” reaguje na to, co zrobiono z Soborem i na wyrosłą na nim mitologię. W książce tej pisał: *Nie tak dawno katolicy,*

Tak skonstruowana mitologia stanowiła wygodne oparcie dla sloganów. Z jednej strony tradycja, utożsamiona z najdalej posuniętym obskurantyzmem. Z drugiej blask nowości, bez najmniejszego skrawka cienia. Autorytet przeciw wolności (i odwrotnie). Doktryna w opozycji do duszpasterstwa. Ekumenizm przeciwstawiony (co jest najśmieszniejsze) trosce o jedność Kościoła, a zwłaszcza tezie o Jego jedyności, przeciwstawiony Kościołowi samemu. Getto albo otwartość na świat prowadząca aż do rozproszenia się w nim, itd.

Bez wątpienia, przyznawano z chęcią lub niechęcią, że pomiędzy samymi kardynałami, jak i między innymi biskupami znajdowało się wiele ważnych osobistości nie przynależących do żadnej z tych kategorii. Przydzielano ich jednak prawie ze ślepym trafem do jednej lub drugiej grupy, gdy tylko okazywali się zbyt wpływowi; ryzykowano przy tym pospieszne ich stamtąd wyprowadzenie i umieszczenie w grupie przeciwnej. Wielka nadzieja „białych”, kardynał Giovanni Battista Montini, późniejszy Paweł VI, po pewnym czasie korzystania z przywileju niepewności, został zaliczony do „czarnych”. Było w sumie wiele takich rozsad, które, gdy się przyjrzeć nieco bliżej, dotyczyły tak naprawdę ludzi najbardziej znanych z wierności pozycjom wyważonym, a przy tym stałym. I patrząc od drugiej strony: analiza głosów oddanych od początku Soboru – a zwłaszcza podczas następującego po nim Synodu – wykazuje, że najbardziej „biali” spośród „białych” wielokrotnie mieli tendencję do tworzenia bloku z „najczarniejszymi” z „czarnych”. Staje się to tym bardziej uderzające, gdy zwrócimy uwagę na to, co działo się w komisjach biskupich ustanowionych w Rzymie do aplikacji Soboru. Zdarzenia te są bardzo znaczące i spróbujemy je głębiej omówić w odpowiednim czasie.

Ta redukcja Konsylium – a zwłaszcza jego następstw – do konfliktu pomiędzy czarnymi owcami a barankami bez zmyślenia doprowadziła do tego, że opinia publiczna utraciła sprzed oczu podstawową rolę odegraną przez prawdziwych rzemieślników soborowego dzieła; zrobiono za to przelotną reklamę kilku osobom, które wbrew pozorom niewiele wniosły w tamte wydarzenia. Co gorsza, odsunięto umysły od prawdziwych problemów, zabawiając je opozycjami, które nawet jeśli po części były prawdziwe, to i tak pozostawały bardzo powierzchowne, a ich dokładne zna-

czenie nie zostało nigdy objaśnione. Osoby jednak przemijają, a problemy pozostają. Dlatego też mitologia soborowa i posoborowa wyrządza największe szkody, gdy odnosi się bezpośrednio do tych ostatnich.

Należałoby w tym miejscu zdemistyfikować przede wszystkim mity narosłe wokół służby, ubóstwa, kolegalności, ekumenizmu, otwarcia na świat i *aggiornamento*. Chciałbym zostać dobrze zrozumiany: wszystkie te tematy są najcenniejszymi zdobyczami czy też ponownymi odkryciami Soboru. Jednakże począwszy od czasów *Vaticanium II*, widzieliśmy, jak te idee pęczniały i deformowały się pod wpływem czynników, które właśnie opisałem. Od tamtego też czasu wcale nie przestały się rozdymać, aż do osiągnięcia obecnie stanu bliskiego eksplozji. Zdaje się teraz, że wystarczyłoby tylko nakłucie szpilką, żeby nie zostało z nich nic poza zmiętym skrawkiem gumy, całkiem mokrym od śliny. Kto jednak odważyłby się na takie działanie, nie poddając się przy tym lękowi, że zostanie ono odebrane jako atak na kryjące za tymi hasłami rzeczywiste problemy i wartości? Atak na idee, które do tej pory jedynie rozdmuchiwaliśmy, zamiast je rozwijać? Trzeba jednak poważnie się na owo przekłucie, zanim obrzęk okaże się śmiertelny.

Zacznijmy od służby. Trzeba przyznać, że odziedziczyliśmy po baroku nie tylko koncepcję Kościoła i Jego hierarchii zdominowaną przez zapóźnione, średniowieczne pojmowanie władzy, lecz również pewien styl bycia olśniewającym, który – szczerze mówiąc – bardziej przywodzi na myśl parweniusza niż prawdziwego króla lub pana. Nie każdy może naśladować bezkarnie Króla Słońce. Tym niemniej wszyscy „książęta” Kościoła (nieraz ludzie bardzo prości) przyjęli styl, który im się narzucał jako podkreślający królewskość Boskiego Prawa. W pewnym momencie jakby stali się niezdolni do oddychania innym powietrzem niż atmosferą Dworu. Wiele ujawnia już choćby sam rozrost tytulatury: kardynałowie, *reverendi* („wielebni”) aż do XVII wieku, stali się następnie *reverendissimi* („najprzewielebniejszymi”). To nie wystarczyło i kiedy z *illustrissimi* („przesławni”) stali się *eminentissimi* („najwybitniejsi”), biskupi postanowili nie oddawać im pola. Nie śmiać pretendować do „jego wysokości”, nie odmówili sobie „wielmożności”, zanim nie zastąpili jej przez „ekscelencję” („znakomitość”).

Tę samą rzecz można zaobserwować odnośnie strojów. Również w epoce baroku zaczęto zastępować fiolet prałacki purpurą – zapominając o fakcie, że jest to jedynie liberia pontyfikalna, pozostałość po znakach poddaństwa noszonych w imperium przez niewolników publicznych (w Rzymie jeszcze do dziś gliny, grabarze i zamiatacze ulic mają do niej prawo!)... Zostawmy ten temat: zbyt wiele można by tutaj dodać. Lepiej pozostać przy paru „śmiesznościami” i pominąć aspekty bardziej ponure, których również nie brakowało, to pewnie!

Nadszedł więc czas i to najwyższy czas, żeby po pierwsze przypomnieć, że funkcje hierarchiczne są „posługą”, to znaczy „służbą”, skoro odzwierciedlają one Tego, który choć był „Mistrzem i Panem”, nie chciał przyjąć przy Wcieleniu innej roli jak tylko „Sługi”. Jak to bardzo dobrze ujął Ojciec Congar: nie wystarczyło nawet powiedzieć, że funkcje sakralne powinny być wypełniane w duchu służby (zawsze to głoszone, choćby wbrew sobie), lecz należało odkryć na nowo, że one są służbą. Gdyby lektura Ewangelii, Listów świętego Pawła i Piotra nie okazała się wystarczająca, warto byłoby przeczytać jeszcze list świętego Grzegorza Wielkiego do patriarchy Konstantynopola.

Poza tym, że sami przywódcy Kościoła, i to począwszy od największych dostojników, nie powinni mierzyć wyżej niż do roli „sług sług Bożych”, pozostawało jeszcze zauważyć, że cały Kościół w świecie jest powołany do służenia ludzkości, a nie do dominacji nad nią (choćby, w zamierzeniu, „dla jej dobra”).

Takie ujęcie sprawy jest piękne i dobre. Niestety zdaje się – i to tutaj właśnie spadamy z pułapu Ewangelii na poziom mitologii – że nowocześni katolicy mówiąc „sługa”, myślą „lokaj”. Warto zadać sobie pytanie, czy ich wczorajszy triumfalizm nie był przypadkiem przejawem mentalności dworaków, którzy z dumą prezentują podstarzałą odzież obszytą błyszczącą tasiemką i spychają przy tym w niepamięć, że jest ona jedynie wykwintnym wyróżnikiem ich podporządkowania i wyłączenia. Mentalność najwyraźniej się nie zmieniła, zmieniły się jedynie wraz z modą jej zewnętrzne oznaki.

Określenie, że dostojnicy Kościoła – począwszy od Jego przywódców – są sługami, nabrało zatem takiego sensu, iż nie powinni oni już więcej brać na siebie odpowiedzialności przewodników

i nauczycieli, lecz iść za stadem zamiast na jego czele. Przypisuje się pułkownikowi Gwardii Narodowej, który biernie podążył za swoimi bezładnie uciekającymi oddziałami podczas rewolucji roku 1848, takie oto smakowite stwierdzenie: „Skoro jestem ich dowódcą, przecież powinienem im towarzyszyć!”. Odnosi się czasem wrażenie (a może nawet często?), że dzisiejsi biskupi, a wraz z nimi wszyscy znawcy prawa kościelnego, uczynili z tych słów swoją dewizę. Księża i wierni mogą powiedzieć cokolwiek, zrobić cokolwiek, żądać czegokolwiek: *Vox populi, vox Dei*. Błogosławi się wszystko z doskonałą obojętnością, z preferencją na to, co zostałoby potępione przed Soborem. „Cóż to jest prawda?”, rzekł Piłat. Przełożeni Kościoła zdają się mieć obecnie na to jedną, odruchową odpowiedź: „Czego sobie życzycie, moi przyjaciele!” Gwałtownicy zdobywają Królestwo Niebieskie: wygląda na to, że te słowa są teraz rozumiane w zbyt łatwym sensie szarpaniny, kto pierwszy wyrwie doktrynalną piłeczkę z rąk innych. Newman został odsunięty w cień na dwadzieścia lat, ponieważ miał nieszczęście przypomnieć pewną historyczną prawdę: otóż po Soborze Nicejskim autorytet Kościoła zachwiał się na czas trwania całej generacji. Po Vaticanum II nastąpił okres prawie że generalnej dymisji Kościoła nauczającego. Na jak długo? Któż może to wiedzieć?

Niedawno zmarły Ojciec Laberthonnière zauważył (z charakterystyczną dla siebie umiejętnością upraszczania, która była zarazem mocną i słabą stroną jego myśli): „Konstantyn uczynił z Kościoła imperium, święty Tomasz system, a święty Ignacy zamienił Go w straż porządkową”. Można by znaleźć pewne wytłumaczenie dla opinii, że Sobór uczynił z Kościoła Opactwo Telemy¹.

Jednak nie to jest najgorsze. Najgorsze jest to, co zrobiono z ideą Kościoła służącego światu. Kościół, jak widocznie przetłumaczono sobie tę ideę, nie ma już nawracać świata, lecz samemu nawrócić się do niego. Kościół nie powinien więcej pouczać świata, lecz wsłuchać się w to, co świat do Niego mówi. A co z Ewangelią

¹ Opactwo Telemy – klasztor z utopii renesansowej pióra Franciszka Rabelais'ego, stanowiącej fragment słynnej powieści *Gargantua*. Mottem Opactwa Telemy

było: *Czyń, co chcesz*. Zamieszkali w nim mężczyźni i kobiety samodzielnie rozeznawali wolę Bożą i zgodnie z nią spędzali czas na szlachetnych rozrywkach renesansowych, jak czytanie, pisanie, granie i śpiewanie oraz wypoczynek w miłej kompanii. Życie w Opactwie upływało przyjemnie i bezkonfliktowo, dlatego że, zdaniem Rabelaisiego, człowiek dobrze urodzony, wykształcony i przebywający w korzystnym środowisku, jeśli tylko pozostawi mu się należną mu swobodę, nie będzie odczuwał pociągu do zła – przyp. tłum.).

zbawienia, zapytacie? Czyż nie spoczywa na niej w całości odpowiedzialność za świat? Czyż to nie jej niesienie ludziom stanowi główny obowiązek Kościoła? A zatem do przodu! Zmieniliśmy to wszystko! Jak rzecz tytuł jednego z typowo posoborowych dzieł, właśnie „zbawienie bez Ewangelii” stało się naszą Ewangelią. Jeszcze dalej – ponieważ rozgrywamy tu partię pokera, w której blef jednego tylko podpuszcza drugiego do nieczystej zagrywki – ta formuła też jest już za nami. Jak mi powiedział w ostatnich dniach jeden z naszych nowych teologów, sama idea zbawienia jest obelgą wobec świata, który przecież jest stworzeniem Bożym: dzisiejszy człowiek nie może jej zaakceptować! Nie mówmy o niej więcej! Jednak czy to wystarczy? A może dzisiejszy człowiek uzna za obelgę tym bardziej niedopuszczalną hipotezę czy też insynuację, że w ogóle jest dziełem Boga? Bóg umarł, Państwo nie wiecie? To dlatego, że nie czytacie najnowszych katolickich publikacji! Jeśli jest martwy, tym bardziej nie powinien być zakwalifikowany jako nasz stwórca!...

Służyć światu, mówiąc inaczej, nie oznacza nic więcej niż schlebiać mu, czcić go, tak jak schlebiano wczoraj proboszczowi w jego parafii, jak czczono biskupa w jego diecezji, jak oddawano cześć największemu uniżeniu papieżowi na tronie świętego Piotra. I czyż nie jest to naturalne, skoro służenia samemu Kościołowi nie traktuje się w pierwszym rzędzie jako dostarczania Mu prawdy ewangelicznej, skoro nagłemu apetytowi ojcowskiemu naszych arcykapłanów oraz kapłanów drugiej czy nawet dwudziestej piątej rangi towarzyszy zawstydzenie nałogowym paternalizmem – tak że nie chcą oni już więcej być ojcami, a tylko sympatycznymi dziadziusiami, którzy wyrzekli się wychowywania i już nie potrafią, nie mogą robić nic innego poza rozpieszczaniem?

Ubóstwo idzie w parze ze służbą. Można się więc spodziewać, że jedno będzie warte drugiego.

Nie byłoby może przesadą powiedzieć, że ewolucja, którą przeszedł Stary Testament, przygotowując Nowy, nigdzie tak nie uderza, jak przy powoli wyłaniającym się temacie ubóstwa. Początkowo bogactwa ziemskie zdawały się być czystym dobrodziejstwem Bożym, jak widać to w błogosławieństwach patriarchów pod koniec Księgi Genesis. Wtem Izajasz, sam w sobie wielki pan, uderza w pierwszą przenikliwą nutę, wołając: „Biada

bogatym!” Według Jeremiasza i ostatnich psalmów to ubogi, którego jedynym bogactwem jest wiara, staje się błogosławnym przez Boga. Jezus otwiera usta, żeby w pierwszych słowach Kazania na Górze wygłosić: „Błogosławieni ubodzy!...” To jest też podskórny temat całej Ewangelii według św. Łukasza. Zaś święty Paweł streści nam dzieło Chrystusa takimi słowami, że oto On będąc bogaty, dla nas stał się ubogim. W tej sprawie również, rzecz jasna, wiele pozostaje do życzenia, jeśli chodzi o Kościół Święty po tych dwudziestu wiekach! O ile Żydzi mają opinię ludzi pieniądza, o tyle nie mniejsza jest w tym zakresie reputacja przedstawicieli Kościoła. Sam słyszałem, jak Cocteau cytował taką oto wzniosłą myśl, zasłyszaną z kolei z ust Lehmana, dyrektora paryskiej Opery: „I pomyśleć o tym, że Żydzi od samego początku mieli w swoich rękach taki interes jak Kościół Katolicki i pozwolili, żeby wymknął im się z rąk!”

Ubóstwo jest tak istotne w chrześcijaństwie, że zakonnicy od zawsze byli w sposób oczywisty zobowiązani do świadczenia o nim z przykładowym radykalizmem. Byłoby jednak truizmem przypominać, że w gruncie rzeczy ich poziom życia jest zazwyczaj zdecydowanie wyższy niż ten spotykany wśród większości tzw. „świeckiego” kleru oraz że odpowiada on raczej średniej stopie życiowej zamożniejszych mieszczan, dającej wolność i wygodę. Miałem niedawno nieszczęście podkreślić w wykładzie na temat zakonnego ubóstwa ten rozdźwięk pomiędzy jego współczesną wersją a ubóstwem biblijnym i ewangelicznym; do dziś nie zapomniałem budujących odpowiedzi, jakich mi wtedy udzielono. Jeden z najśłynniejszych moralistów katolickich, członek Towarzystwa Jezusowego (gdzie, a już szczególnie we Francji, wymaganie ubóstwa jest dużo ostrzejsze niż w innych instytucjach), odpowiedział mi, że mój punkt widzenia został pośrednio potępiony przez Prawo Kanoniczne: definiuje ono ubóstwo zakonne jako wyrzeczenie się dóbr osobistych, a nie jako zakaz używania dóbr zbiorowych, jakie by one nie były. Pewien uczoney dominikanin natychmiast się do niego dołączył, co więcej, „przelicytował” go (to dobre określenie). Otóż święty Tomasz z Akwinu – jak raczono mi wytłumaczyć – stwierdził, że ślub ubóstwa sam w sobie dużo lepiej wysławia Boga niż wszelka konkretna praktyka materialnego ubóstwa...

Jeśli kościelni specjaliści od ubóstwa tak zapatrują się na te sprawy, nie zaskakuje zbyt, że niektórzy nie-zakonnicy poświęcają im jeszcze mniej uwagi. Umiłowanie do budowli pełnych przepychu i nieużytecznych (zazwyczaj wstrętnych, jak w Lisieux czy Nazarecie), styl życia wysoko postawionych ludzi Kościoła, wysokość opłat za obrzędy, a w szczególności za dyspensy, to są drobnostki w porównaniu ze złami głębszymi i bardziej ukrytymi. Cóż powiedzieć o przyjętej przez moralistów zasadzie, że nie ma mowy o symonii (sprzedaży dóbr duchowych lub szerzej, całym doczesnym zysku wiążącym się z ich udzielaniem), gdy chodzi o praktykę uznaną prawnie? Stąd wynika na przykład skandaliczny handel honorariami za msze, właśnie dlatego tym bardziej skandaliczny, że dzieje się nie tylko za cichym przyzwoleniem najwyższych władz religijnych, ale wręcz za ich namową... Cóż rzec o niezliczonych „dziełach” promowanych w celu przyciągnięcia wiernych, co do których wszyscy wiedzą, że przysługują się one bardziej samym organizatorom niż zbawieniu dusz, nie wspominając już o chwale Bożej? I przede wszystkim, co można stwierdzić o generalnym marnotrawstwie otrzymywanych sum, których większość powinna iść na utrzymanie kleru apostołskiego? Każdy – szczególnie we Francji – wie, ile w praktyce księży otrzymują na życie, nie licząc paru „ważnych proboszczów”, których biskupi ustanowili „rządcami podatkowymi”.

Należało powiedzieć – a można by powiedzieć na ten temat także inne rzeczy – że powrót do Ewangelii szczególnie się tutaj narzuca. Trzeba również dodać, że narzuca się tym bardziej, iż żyjemy w epoce, w której rozwój cywilizacji materialnej doprowadził do ekstremum różnicy pomiędzy ludami bogatymi i ubogimi; i tak oto np. spektakl serwowany przez misjonarzy żyjących na komfortowym poziomie amerykańskim (z klimatyzacją włącznie) wśród nędzy azjatyckich czy afrykańskich populacji, które teoretycznie ewangelizują, okazywał się wielokrotnie kontr-ewangelizacją skutecznie osłabiającą moc ich kazań. Nie zapominajmy też o występujących nieraz na samym Zachodzie – a zwłaszcza w jego najbiedniejszych regionach, jak np. w Ameryce Łacińskiej – szokujących powiązaniach pomiędzy klerem (hierarchami w szczególności) a osobami ciągnącymi profity z systemu społecznego jednocześnie niesprawiedliwego i nieprzystosowanego do warunków.

W czasie Soboru wysłuchaliśmy wielu pięknych dysertacji na ten temat. Niemniej możemy sobie pozwolić na żal, że niektóre z najbardziej elokwentnych przemówień zostały wygłoszone przez hierarchów znanych ze swojej żyłki do biznesu, o których nie wiadomo, żeby od tamtej pory zmienili swoje postępowanie: przykładowo jeden z hiszpańskojęzycznych – ale nie hiszpańskich – biskupów po cichu kieruje przedsiębiorstwem wydawniczym, które publikuje wyłącznie przekłady... ponieważ kraj, w którym żyje, nie ratyfikował międzynarodowych konwencji, co zwalnia go z płacenia za prawa autorskie, a tym bardziej z należności dla wydawnictw posiadających *copyrights*. Nie wiem, jak takie procedury zwie się w Kościele (zauważyliśmy już, że nie jestem moralistą z zawodu), ale wiem, że w świecie określa się je mianem oszustw finansowych. Niemniej – jak to rzecze święty Paweł – nawet jeśli Ewangelia nie jest głoszona w czystych intencjach, należy się cieszyć, że w ogóle jest głoszona!

Można by słusznie się domagać, aby za doktryną poszło realistyczne wcielenie jej w życie. Tutaj też raczej pomyliliśmy się w swoich oczekiwaniach. Trzeba wyznać, że nawet kaznodzieje bardziej uczciwi niż ten, do którego właśnie zrobiłem aluzję, nie wydawali się mieć pełnej jasności co do najistotniejszej kwestii: Kościół powinien *być* ubogi, czy też jedynie na takiego *wyglądać*?

Gdy tylko temat ubóstwa zagościł na auli soborowej, prasa natychmiast nas zawiadomiła, iż oto pewna grupa biskupów podjęła decyzję o szczególnym poświęceniu się jego triumfowi lub dobremu zagospodarowaniu (przepraszam za sformułowanie, nie udało mi się znaleźć lepszego). Grupa nazwała się sama, czy też pozwoliła się nazwać „Kościołem katakumb”, gdyż zbierała się ukradkiem – w towarzystwie sproszonych reporterów – w owych miejscach podziemnych i ponurych... o których wiemy już od dawna, że Kościół prześladowany nigdy się tam tak naprawdę nie gromadził, cokolwiek o tym myśleli romantycy. W każdym razie, oczekiwaliśmy z pewnym przejęciem heroicznych decyzji tam podjętych, które zajaśnią przykładem tłumom prałatów o mniej widocznym zapale do ascetyzmu. Odkryliśmy z zachwytem, że owi biskupi postanowili sami prowadzić swoje samochody (co pozwoliło zlikwidować pensję, a więc i chleb na życie dla ich szoferów); nie mieć już konta w banku na swoje nazwisko, tylko

na nazwę swoich „dzieł” (lecz najprawdopodobniej zachowując przy tym swój podpis) i przede wszystkim, używać jedynie drewnianych pastorałów i krzyży (wystarczy jeden rzut oka do katalogów, żeby zobaczyć, że w dzisiejszych czasach, przy takim samym wkładzie pracy te przedmioty stają się droższe, gdy są wykonane z drewna niż z metalu)... Inaczej mówiąc, wśród samych pionierów idei „sprawiać wrażenie” prędko zaczęło dominować nad rzeczywistym „być”. I to właśnie tutaj i nie gdzie indziej leży problem. Jak to ujął jeden z zakonników, istnieją jednak również tacy, którzy są naprawdę ubodzy, a nie jedynie teoretycznie: „Po co tak się martwić, żeby wyglądać na biednych? Jeśli serio jest się ubogim, ludzie sami to zauważą!” Tak, ale właśnie trzeba zadać sobie pytanie, do jakiego stopnia istotnie chcemy być biedni, a do jakiego po prostu szukamy ostatniego wybiegu, by na takich wyglądać i w ten oto sposób uciec od konieczności rzeczywistego ubóstwa.

Otóż tutaj leży pierwsza trudność: w momencie gdy tak bardzo troszczymy się o to, by otworzyć się na świat, by go zaakceptować, by uświęcić go takim, jakim jest, a który jest dzisiaj w istocie – i nie chce być inny – społecznością skupioną na produkcji i konsumpcji, jakże moglibyśmy sobie wyobrazić, że oto rzeczywiście sprzedajemy wszystkie dobra, rozdajemy je ubogim i następnie idziemy za Chrystusem? Nie można wszystkiego zrobić jednocześnie, nawet jeśli się bardzo chce!

Tak więc do dnia dzisiejszego, zgodnie z tym, co mi wiadomo, ta wielka kruczata ubóstwa nie doprowadziła do niczego innego jak do zubożenia kultu. Taki czy inny biskup, pod którego pieczęcią znajduje się katedra wyposażona w zachwycający skarb starych zdobień, od czasu swojego powrotu z Soboru nie odprawia już w niej więcej Mszy i otacza się kapitułą odzianą byle jak, sam przebrany za ścierkę do podłogi... Po czym wraca do siedziby biskupiej Citroenem DS, podczas gdy najbardziej zamożny z jego kanoników nie ma być może nawet Citroena z CV!

Przyznaję, że uważam ten typ oszczędności – i nie jestem w tym jedyny – za szczególnie degradujący. To ubóstwo Judasza, nie Chrystusa. Kult jest jednocześnie dla Boga i ludu Bożego. To święto w czasie którego wszyscy, zarówno ci najbiedniejsi jak i najbogatsi, znajdują się u siebie w domu Ojca i są wezwani do radowania

się w Jego obecności. Luksus i kiczowaty przepych są z pewnością niewłaściwe, ale prawdziwe piękno, nawet kosztowne, nie znalazłoby sobie chyba na tym świecie bardziej odpowiedniego miejsca. Mówi się nam, że nie będzie się już konstruowało dużych kościołów będących jednocześnie dziełami sztuki, ponieważ są one obrazą dla biedoty. Czy są rzeczywiście? Anglikanie minionego wieku, którzy długo przed nami wykonali ogromny wysiłek, żeby znaleźć kontakt z żyjącym w największej nędzy miejskim proletariatem, myśleli odwrotnie – że jest właśnie uhonorowaniem biednych przyjście do nich nie tylko z chlebem lub zupą, albo nawet z najbardziej skutecznymi dziełami społecznymi, ale także z darem w postaci kościołów równie pięknych i liturgii równie pełnej chwały jak w eleganckich dzielnicach. I żeby to zrobić, nie wahali się bezlitośnie ściągać pieniędzy z mieszkańców tych ostatnich. W rezultacie powstały takie kościoły jak St. Peter's czy London Dock, które natychmiast zapełniły się ludem Bożym niekoniecznie błękitnej krwi. One najprawdopodobniej były przyczyną rozszerzenia się anglikanizmu na środowiska, których nigdy wcześniej nie objął; a także ludowego ruchu liturgicznego, w porównaniu z którym nasz wypada bardzo słabo.

Skądinąd idea, że brzydki kult z pewnością okaże się tańszy niż ten wspaniały, jest dziecinna. I nawet jeśli wartościowa sztuka liturgiczna jest w miarę droga (nie droższa, a często zdecydowanie mniej droga niż ta najbardziej haniebna), cóż właściwie przyniesie ubogim zaprzestanie budowania kościołów lub ołtarzy godnych tego miana, cóż da im fabrykowanie byle jakich i szkaradnych szat kapłańskich? Jeśli ktoś się na tym wzbogaci, to raczej ci wszyscy pozbawieni skrupułów ludzie interesu, którzy i tak już wyciągają za dużo pieniędzy od kleru, wciskając mu seryjną tandetę pozornie za dobrą cenę; odstawieni na bok zostaną zaś ci wszyscy rzemieślnicy i robotnicy, którzy najbardziej zasługują na uwagę. I czyż Kościół nie potrzebuje też artystów i uczonych, żeby głosić Ewangelię za pośrednictwem kultury każdej epoki? – do dziś jeszcze Jego klerkowie pogardzają jednymi jak i drugimi, niezdolni odróżnić ich od chłopaków od fryzjera lub autorów krzyżówek! ■

Tłum. Małgorzata Czachor